

„Między matematyką a dysleksją”

„Mam 57 lat i całe życie zmagam się z dysleksją, dysortografią, a częściowo i dysgrafią. Nie mam żadnych dokumentów czy badań stwierdzających u mnie te zaburzenia. Pierwszą nauczycielką, która musiała coś słyszeć a dysleksji, była moja polonistka w Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Reja w Kraśniku Fabrycznym (obecnie Kraśnik Lubelski). Były to lata 1964/65-1968/69. Szanowała mnie, starała się zrozumieć moje problemy i pomagała mi przez całe liceum. Trochę zrozumienia okazywali mi wcześniej również nauczyciele w szkole podstawowej (byłabym niesprawiedliwa, gdybym o tym nie wspomniała). Jednak to prof. Teodozja Kieruczenko – absolwentka KUL służyła mi nieocenioną pomocą. Nie oznacza to, że stawiała mi wysokie oceny. Na świadectwie z polskiego zawsze miałam dostateczny, a na semestr dostateczny na tzw. szynach.

Skończyłam studia wyższe, po 30 latach pracy przeszłam na emeryturę. Spośród kierunków studiów wybrałam matematykę, by uciec od koszmaru ortografii, ciągłego czytania i pisania. Pracowałam nie najgorzej, skoro raz otrzymałam nagrodę kuratora oświaty i jestem nauczycielem dyplomowanym. Jednak to, co innym przychodzi w miarę łatwo, dla mnie jest wspinaczką pod wielką górę.

Ortografia

Choć znam reguły ortografii, wiedza ta nijak się ma do umiejętności poprawnego pisania. Do dzisiaj nie rozstaję się ze słownikiem ortograficznym nawet przy sprawdzaniu klasówek z matematyki. Nieoceniony jest komputer - on poprawia błędy. Podam przykład, w jaki sposób zapamiętałam poprawną pisownię słów „pożyczka” i „porzeczka”. „Pożyczka” jest krótka, bo nikt jej nie lubi, więc musi mieć „ż”, bo to skraca zapis. „Porzeczka” jest wyrazem długim, ma „rz”, bo jak się je porzeczki, wydziela się dużo śliny, bo porzeczki są kwaśne.

Np. wyraz żołnierz pisałam podchodząc do problemu matematycznie: oba "ż", oba "rz", jedno "ż" jedno "rz" i albo udało się, że raz było poprawnie, albo wyraz w tekście nie występował 4 razy i były błędy.

W liceum po każdym dyktandzie trzeba było ułożyć po trzy zdania złożone z każdym wyrazem, który został napisany z błędem ortograficznym. Po trzech poprawach (w tym dwie „poprawy poprawy”) pani profesor zwolniła mnie z tego „przywileju”. Miałam każdy wyraz napisać tylko trzy razy, ale poprawnie. Każdą poprawę sprawdzała moja mama, ale sprawdzała „na brudno”, gdyż uważała, że uda mi się napisać na czysto bez błędów. To było jednak niemożliwe, więc pani profesor powiedziała, żeby ktoś mi sprawdzał tekst napisany na czysto. Wprawdzie będą skreślenia, ale nie będzie błędów. Z dyktand zawsze dostawałam ocenę niedostateczną.

Na Forum OSKKO (www.oskko.edu.pl) w wątku „Dysortografia i dysleksja.” znalazłam taką wypowiedź internautki w sprawie stawiania oceny niedostatecznej z dyktanda:

„To tak, jakby nauczyciel WF-u postawił dziecku na wózku jedynekę za bieg na 100 metrów”. Moim zdaniem to sformułowanie powinno dotyczyć oceny semestralnej i końcowej, a co za tym idzie promocji do następnej klasy czy szkoły. Nie oszukujmy się, że komuś uda się nauczyć dyslektyka w wieku szkolnym poprawnego pisania. Nie znaczy to jednak, że nie trzeba bardzo się starać. Pod koniec nauki w liceum już wiedziałam, że góra pisze się przez „ó”, a harcerz przez „h” i „rz” na końcu. W maju przed maturą skończyłam 18 lat, a ortografii uczyłam się pilnie już od najmłodszych lat szkolnych, czyli około 11 lat.

W nauczaniu się ortografii nie pomogły mi żadne ćwiczenia w domu. Do dziś muszę się posługiwać różnymi „szyframi”, by zapamiętać jak się coś pisze. Te szyfry są zrozumiałe tylko dla mnie. Zawsze muszę pracować dużo więcej od innych, ale już się z tym pogodziłam. Z wypracowania zawsze polonistka stawiała mi dwa stopnie: za treść dostateczny za ortografię -- niedostateczny. Za to z gramatyki nawet na klasówce miałam czwórki.

Pisanie

Każde moje zdanie było na pół strony niekiedy nawet na całą, pełno w nim było myślników, średników czy nawiasów. Do dziś nie umiem z tego zrezygnować. Opisy, które umieszczałam w programie „Nauczyciel z klasą” częściowo sprawdzała moja synowa - obecnie polonistka, wtedy jeszcze studentka. Mój opis pokazuje, jak pisze dyslektyk. Mam na myśli budowę zdań, interpunkcję, sens i styl pisania.

Ładne i czytelne pismo - nieoceniony jest komputer, już nikt nie mówi, że nie można odczytać tych "pchełek graślawych" - mam na dodatek pismo bardzo drobne.

Czytanie

Również czytanie to dla mnie prawdziwy koszmar. Jestem potem tak zmęczona, że wolałabym 10 godzin ciężkiej fizycznej pracy niż 2 godziny czytania. Poza tym czytając muszę stale robić notatki, bo nigdy nic nie wiem, co przeczytałam. Czytanie „Chłopów” Reymonta wyglądało mniej więcej tak: jeden rozdział - streszczenie, wypisanie opisów przyrody i postaci. Dopiero potem mogłam czytać drugi rozdział itd. Po przeczytaniu jednej części czytałam swoje notatki i robiłam streszczenie streszczenia - tylko wtedy wiedziałam, o czym Reymont napisał. Tę lekturę wyjątkowo lubiłam.

A co się działo, gdy lektura mi nie odpowiadała? Czytała ją moja nieoceniona mama i to ona pisała wypracowania z tej książki, opowiadała mi ją.

Do dziś lubię czytać teksty krótkie (np. nowele). Często się też zdarza, że czytam kilka książek naraz. Każdą po jednym rozdziale, żeby się nie znudzić. Długie czytanie jednej

książki powoduje znużenie tematyką i czyta się ją „podwójnie” długo, bo stale trzeba wracać do tego, co się przeczytało. Znudzenie wydłuża lekturę, a to powoduje szybsze męczenia się czytaniem. Jeśli się nie jest dyslektykiem, nie można tego zrozumieć. Dlatego moim zdaniem dyslektyk powinien mieć więcej czasu na czytanie i pisanie - bardzo dobrze, że zostało to wprowadzone na egzaminach.

Na szczęście interesowała mnie fizyka i matematyka, nie dość, że teksty są na ogół krótkie, to jeszcze na fizyce można robić doświadczenia. Zadania, zwłaszcza tekstowe, uwielbiałam, bo miały krótką treść, a do pisania były jedynie cyferki i niewielkie partie tekstu.

Praktycznie na każdym przedmiocie można rozpoznać dyslektyka. Jako uczeń myliłam strony równania, znaki „+” z „-” „<” z „>”.

Mój matematyk w liceum - prof. Czesław Filipczak zalecał mi bym odpowiedzi do nierówności podawała słowami. Po prostu pisałam, czy dana liczba spełnia nierówność czy nie, zamiast podawać zapis przedziału liczbowego. Przy funkcjach trygonometrycznych zawsze najpierw opisywałam głównie, co chcę narysować i dlaczego, a dopiero później wykonywałam wykresy. Same zapisy funkcji trygonometrycznych: $\sin x$ i $\cos x$, $\operatorname{tg} x$ i $\operatorname{ctg} x$ były dla mnie bliźniaczo podobne. Profesor widocznie wiedział o tym, więc znowu najpierw musiałam podać definicję ustnie, a potem sprawdzić, co napisałam i poprawić odpowiedź. Zwykle wiedziałam co poprawić, ale odruchowo pisałam $\sin x$ i podawałam definicję $\cos x$. A jednak skończyłam matematykę i przez 30 lat uczyłam tego przedmiotu, podobno byłam nawet, niezłym nauczycielem. Mam dar tłumaczenia matematyki, bo wiem ile wysiłku mnie kosztowała jej nauka, do wszystkiego musiałam dochodzić sama. Materiał ścisłych przedmiotów starałam się zrozumieć, a raczej zapamiętać ze zrozumieniem.

Do dziś myślę stroną lewą z prawą. Największe męki” przechodzę, gdy ktoś mi mówi „po lewej stronie” — jest oczywiste, że odruchowo idę w prawo.

A przecież można inaczej określić kierunek, np. „w stronę okna”, „w stronę drzwi” itp. Błędnie reaguję na komunikat: „tor 3 przy peronie 4” oczywiście szukam pociągu na peronie 3 i na torze 4 - już kilka razy przez to spóźniłam się na pociąg.

Jak chcę sprawdzić towarzystwo, w którym przebywam - a oczywiście jest, że są to pedagodzy i to nieraz szacowni - po prostu informuję, że jestem dyslektykiem. To tak jakby wsadzić kij w mrowisko. Od razu większość jest rozbawiona i uśmiechnięta, bynajmniej nie są to uśmiechy życzliwe. Słysząc docinki i zgryźliwe uwagi. Środowisko nauczycielskie nie jest jeszcze przekonane, że dyslektycy są wśród nas. Znamienne były kursy na egzaminatorów. Tam specjalnie mówiłam, że jestem dyslektykiem. Na palcach jednej ręki można policzyć, kto to rozumiał (poza wykładowcami oczywiście: za ich zgodą informowałam kursantów, że jestem typowym przypadkiem dyslektyka).

Większość nauczycieli uważa dysleksję za nieuctwo, nie wierzą w dysleksję i nie chcą wiedzieć co to jest dysleksja. Uważają, że zaświadczenia z poradni psychologiczno-pedagogicznej w większości są wyłudzone. Od razu pojawiają się też pytania o dyskalkulię. A proszę mi wierzyć dyskalkulicy też są. W swojej 30-letniej praktyce rozpoznałam kilku dyskalkulików.

Moi uczniowie i ich rodzice wiedzieli, że jestem dyslektykiem informowałam ich po to, by na swoim przykładzie pokazać, że dysleksja wcale nie paraliżuje codziennego życia, wymaga tylko zwiększonego nakładu pracy nad sobą. Taka wada to nie wada, da się z tym żyć. Mówię o tym po to, żeby uświadomić rodzicom i nauczycielom, że taka dysfunkcja naprawdę istnieje i że nie oznacza to wcale, że dyslektyk jest „opóźniony” w rozwoju, jak niektórzy starają się tę dysfunkcję zinterpretować.

GRAŻYNA STANEK

członek OSKKO